



Wspomnienia krótkofalarskie

Zacząłem się w Pałacu Młodzieży
w Warszawie SP5PKN

Mój brat Grzegorz od najmłodszych lat interesował się elektroniką. Zapisał się do sekcji radioamatorskiej w Warszawskim Pałacu Młodzieży i zmontował tam małe radyjko tranzystorowe, co w tamtych czasach na początku lat 60-tych ubiegłego stulecia było wielką sensacją wśród rodziny i znajomych.



Ja również uczęszczałem do tego Pałacu, ale do sekcji modelarstwa okrętowego i zaczynałem żeglowanie. Niedługo potem mieliśmy w naszym mieszkaniu wizytę dzielnicowego z komendy MO (milicji Obywatelskiej). Pytał najpierw o brata i zadawał różne głupie pytania. Wystraszona mama i brat odpowiadali nie wiedząc, o co chodzi. Wreszcie okazało się, że powodem wizyty była licencja krótkofalowca, którą otrzymał w roku 1965, znak SP5AZQ.

SP5CJU (w słuchawkach) i Grzegorz SP5AZQ.

Na własnoręcznie zbudowanej radiostacji zaczęły się pierwsze łączności radiowe na CW. Mnie się to spodobało i szybko nauczyłem się radiotelegrafii.

Razem z Grzegorzem bardzo dużo czasu spędzaliśmy w Klubie Krótkofalowców w Pałacu Młodzieży SP5PKN gdzie instruktorem był nieżyjący już Henryk Misior SP5PM, wspaniały instruktor i pedagog, który potrafił zarazić młodzież pasją krótkofalarską. Ci, co przychodzili nie mieli czasu na stanie w bramach, picie piwa pod budką albo robić jakieś rozróby.

Na początek dostałem znak nasłuchowca SP5-1158. W krótkim czasie miałem karty QSL z ponad 200 krajów DXCC. Teraz po latach mogę przyznać się, że byłem też UNLIS. Słyszając ciekawszą stację DX, robiłem QSO pod znakiem brata.

Koledzy nadawcy podśmiewali się z nasłuchowców, że „nasłuchowiec i eunuch jedną chodzą drogą, obaj wiedzą jak trzeba, lecz obaj nie mogą...”. Może, dlatego szybko zrobiłem swoją licencję i znak SP5CJU w roku 1968.

Grzegorz nie miał czasu na łączności, bardziej pociągała go strona techniczna a ja odwrotnie, bo na sprawach technicznych znałem się tylko tyle żeby zdać egzamin na licencje. On budował i usprawniał radiostacje a ja testowałem robiąc łączności.

W klubie SP5PKN uczyłem kolegów sztuki radiotelegrafii, a w domu robiłem dużo DX-ów. Sprawiałem wrażenie doświadczonego krótkofalowca, bo dla wielu równało się to z wiedzą techniczną i dlatego często zadawano mnie pytania i oczekiwano porady jak rozwiązać różne problemy techniczne. Zawsze odpowiadałem, udawałem mądrą minę, radziłem, ale tak żeby praktycznie nic nie powiedzieć. Koledzy słuchali z aprobatą, tylko mój brat słuchając tego z boku musiał powstrzymać się od śmiechu, bo wiedział, że ja udaje i blefuje swoją małą wiedzą.

Pewnego razu Telewizja Polska w ramach cyklu programu „Telewizyjny ekran Młodych” robiła reportaż na temat zainteresowań młodzieży. Redaktor Tadeusz Kraśko, ojciec Piotra obecnie znanego reportera Telewizji Polskiej, zwrócił się do Pałacu Młodzieży o wskazanie odpowiednich osób.

Od razu wybór padł na nas, braci dzielących wspólną pasję krótkofalarstwa.

Nasze mieszkanie i mały pokój z radiostacją zmienił się w studio TV. Redaktor Kraśko chciał żebym opowiedział coś ciekawszego. Przypomniła mi się moja pierwsza łączności ze stacją z USA i opowiedziałem:

Wstałem w środku nocy, bo miała być dobra propagacja. Stroję radiostację, ale coś nie tak jak normalnie. Zaglądam do środka nadajnika a tam widzę, że lampa GU50 za jasno świeci, robi się najpierw czerwona i za chwilę biała. Z przerażeniem czekam i myślę sobie, że może ona wybuchnąć, ale ja uparty nie daję za wygraną, wołam CQ i od razu odpowiada mi z bardzo dużą siłą stacja z Louisiany.

Ekipa telewizyjna słuchała tego z przerażeniem nie przerywając mojej wypowiedzi tylko po wyłączeniu mikrofonów zapytali naszą mamę czy nie boi się, że synowie mogą spalić cały dom.

Koledzy z klubu po obejrzeniu w telewizji tego reportażu p.t. „QRZ, - czyli: kto mnie wołał?”, Pytali uśmiechając się, jaką moc doprowadziłem do tej lampy GU50? Ja oczywiście odpowiadałem, też uśmiechając się, że tylko 50 Wat tyle, co zezwala moja licencja.

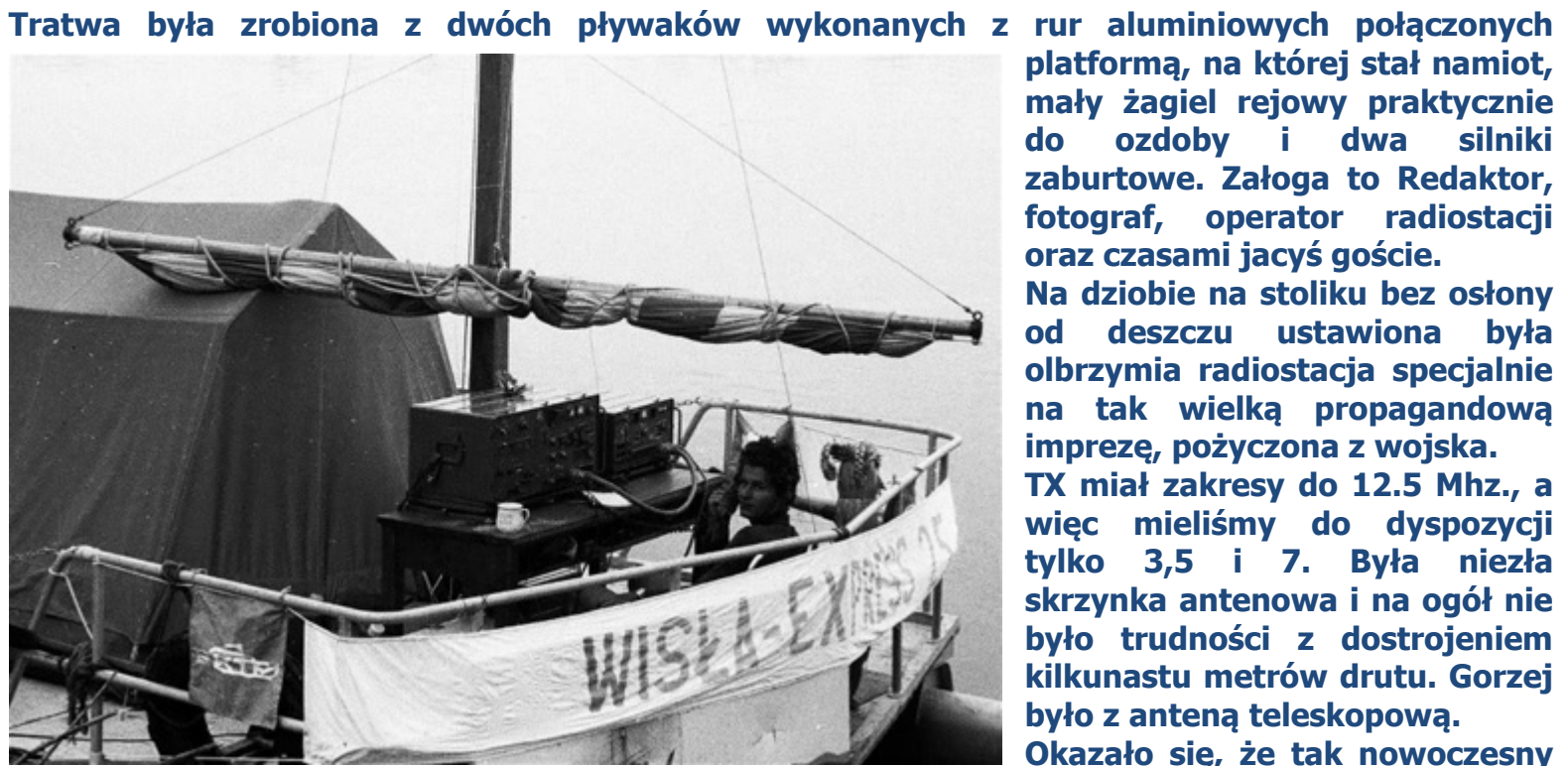
Ciekawe życie klubowe odbywało się nie tylko w klubie. W lokalu Zarządu Głównego PZK a właściwie w sąsiednim pokoju Zarządu Okręgowego w Warszawie, który mieścił się na Wisłą blisko Trasy WZ. Co tydzień przychodzili tam krótkofalowcy z Warszawy i okolic. Była tam okazja spotkać osobiście tych, z którymi rozmawiano przez radiostacje.

Czasami przychodziło zbyt dużo osób i wtedy delikatnie mówiąc wyganiano nas, argumentując, że to jest biuro a nie klub i żeby spotykać się w klubach. Nic to nie pomagało, bo koledzy argumentowali, że przyszli odebrać swoje karty QSL. Na to był kontrargument żeby przychodził tylko jeden QSL manager z poszczególnych klubów. W rezultacie były to fajne i można powiedzieć tradycyjne cotygodniowe spotkania.

Tratwa „Wisła - Express 25”

Na jednym z takich spotkań wiosną 1969 roku byłem razem z Grzegorzem i dowiedzieliśmy się, że warszawska gazeta „Express Wieczorny” organizuje imprezę propagandową z okazji 25 rocznicy PRL. Spływ Wisłą na całej jej długości aż do Gdańska, na tratwie. Organizatorem tego był redaktor Remigiusz Kościuszko, który w ten sposób chciał pokazać od strony rzeki przepływającą całą Polskę sukcesy gospodarcze PRL. Wymyślił on, że przydałaby się na tratwie radiostacja z operatorem do przekazywania do redakcji w Warszawie tekstów artykułów i wiadomości. Szybko zgłosiliśmy się. Ja na odcinek z Sandomierza do Płocka a Grzegorz dalej do Gdańska.

Z ramienia PZK akcją tą kierował Zbigniew Cielecki SP5PA a na tratwie używaliśmy znak SP0PWA/mm.



Tratwa była zrobiona z dwóch pływaków wykonanych z rur aluminiowych połączonych platformą, na której stał namiot, mały żagiel rejowy praktycznie do ozdoby i dwa silniki zaburtowe. Załoga to Redaktor, fotograf, operator radiostacji oraz czasami jacyś goście.

Na dziobie na stoliku bez osłony od deszczu ustawiona była olbrzymia radiostacja specjalnie na tak wielką propagandową imprezę, pożyczona z wojska.

TX miał zakresy do 12.5 Mhz., a więc mieliśmy do dyspozycji tylko 3,5 i 7. Była niezła skrzynka antenowa i na ogół nie było trudności z dostrojeniem kilkunastu metrów drutu. Gorzej było z anteną teleskopową.

Okazało się, że tak nowoczesny

jak na tamte czasy sprzęt nie zdawał egzaminu. Zasilanie dużego urządzenia lampowego wymagało dużo energii elektrycznej. Generator hałasował i redaktor Kościuszko a szczególnie jego fotoreporter denerwował się, bo przeszkadzało mu to w pisaniu artykułów. Akumulatory miały małą pojemność i praktycznie można było nadawać tylko z pracującym generatorem i dlatego przeważnie korzystaliśmy z zasilania sieciowego na przystaniach tam gdzie była możliwość podłączenia.

Na fonii ciężko było przebić się przez zakłócenia a na telegrafii też nie było lepiej, bo brakowało czasu na długie stukanie kluczem. Skończyło się na okazym przekazywaniu krótkich wiadomości a redaktor Kościuszko biegał do telefonu gdzie tylko było to możliwe.

Operator radiostacji był praktycznie bardziej potrzebny jako załoga, co bardzo podobało mi się, bo łączył się z moimi żeglarskimi zainteresowaniami.

W odwiedzanych miastach i wioskach witano nas często tradycyjnym chlebem i solą. Żeby tylko na tym kończyło się, ale więcej niż soli i chleba było tradycyjnej czyściochy, przy której języki rozwijały się.

Powyżej pisałem, że w klubie koledzy myśleli, że znam dobrze sprawy techniczne i radzili się mnie a ja blefowałem. Podobnie było, kiedy goszczący załogę tratwy gazety „Express Wieczorny” myśleli, że jestem też redaktorem. Najczęściej nie wyprowadzałem ich z błędu, że jestem radiooperatorem, bo i tak po kilku głębszych nie docierało to i tylko musiałem wysłuchiwać teksty tego typu: „Panie, albo towarzyszu redaktorze, u nas w powiecie, czy wiosce są takie problemy..., może by coś tak napisać w gazecie? Załatwić jakąś ważną sprawę itp. To napijmy się za ta sprawę” i tak było prawie w każdym miejscu.

W życiu często bywa tak, szczególnie jak się ma nie jedną pasję życiową, że niektóre z nich nawet przez kilka lat mogą być uśpione, żeby powracać do nich i łączyć je ze sobą w innym czasie.

Okres studiów na Politechnice Warszawskiej był wypełniony żeglarstwem morskim i uzyskaniem patentu Kapitana Jachtowego. Byłem wtedy jednym z najmłodszych w Polsce kapitanów.

Dużo podróżowałem, nie tylko na jachcie i odwiedziłem prawie 40 państw.

Na ziemi amerykańskiej – N2AXB

W pogoni za przygodą i poznawaniem świata, bo nie za tzw. chlebem, w listopadzie 1977 roku wyjechałem z Polski i okrężną drogą wylądowałem na kontynencie amerykańskim. W New York zatrzymałem się na dłużej i podjąłem decyzję nie wracania do kraju. Poznałem to miasto z różnych stron nie wyłączając tzw. bagna, w którym żyli nasi rodacy dorabiający się i nie widzący nic poza dolarem i pubem w polskiej dzielnicy.

Jednego dnia krótkofalarstwo zmieniło cały świat otaczający mnie w tym nowojorskim bagienku.

Wybrałem się na wycieczkę do Amerykańskiej Częstochowy w Doylestown w Pensylwanii.

W autobusie poznałem księdza Krzysztofa Małachowskiego, który kierował organizacją „SEAS Institute”, w New York, działającą na rzecz marynarzy, głównie z państw trzeciego świata.

Jednym z projektów było zorganizowanie siatki łączności radiowej stacji amatorskich znajdujących się na statkach różnych bander. Celem było umożliwienie marynarzom przesyłania wiadomości do swoich rodzin w biedniejszych krajach, w których prawo dopuszczało przekazywanie wiadomości dla osób trzecich tzw. „Thirt party tarafic”.

Wielu radio oficerów i marynarzy miało na statkach swoje stacje amatorskie i mogliby nawiązywać QSO z krótkofalowcami na lądzie, którzy by przekazywali wiadomość dalej.

Ja krótkofalowiec i kapitan, wprowadzie jachtowy w jednej osobie byłem dobrym kandydatem to takiej działalności.

Dwa dni później zamieszkałem w budynku Instytutu, zabrałem się do pracy i Instytut oficjalnie wystąpił do Urzędu Imigracyjnego USA o prawo stałego pobytu dla mnie.

Pierwszym punktem było zrobienie licencji amerykańskiej, bo nie było umowy z Polska o wzajemnym uznawaniu licencji krótkofalowych. Odświeżyłem sobie wiadomości oczywiście w języku angielskim, przypominałem telegrafii i bez problemu zdałem egzamin na licencję. Trochę wynudziłem się na egzaminie i mało nie usnąłem przy tak wolnym tempie, jakie było wymagane na licencję kategorii „General”. Dostałem znak N2AXB.

Moja działalność nie trwała długo, bo władze imigracyjne USA przeciągały sprawy w nieskończoność. W międzyczasie Kanada bardziej życzliwa dla Polaków przyznała mi prawo stałego pobytu i musiałem wjechać do niej jak najszybciej żeby tego nie stracić.

Moja druga ojczyzna Kanada. VE7CFA

Do Kanady przyjechałem, jako emigrant w styczniu 1979, najpierw mieszkałem w Toronto gdzie poznałem moją żonę Elżbietę.

W 1983 roku mieszkając już nad Pacyfikiem w Vancouver dostałem bez egzaminu, bo Kanada miała umowę o wzajemnym uznawaniu, najwyższą kategorię licencji Kanadyjskiej „Advanced Almateur” i znak VE7CFA.

Posiadanie licencji w Kanadzie nie wiązało się z przynależnością klubową. Kluby istnieją, ale bardzo mało krótkofalców do nich należy. Niektórzy ograniczają się tylko do zapisania do Kanadyjskiego Związku Krótkofalców, RAC „Radio Amateur of Canada”, co praktycznie wiąże się tylko z prenumeratą miesięcznego pisma.

Kiedyś była roczna opłata za posiadanie licencji, ale kilka lat temu została zniesiona i licencja jest ważna bezterminowo. Wszystko pozostawione jest do indywidualnej oceny i zainteresowań. Mało, kto bawi się w konstruowanie amatorskich urządzeń. Większość używa fabryczne radiostacje i anteny.

Przez długie lata płaciłem roczną opłatę za swoją licencję nie mając radiostacji.

Wreszcie w roku 1991 kupiłem bardzo popularny Tranciver ICOM IC-735 i automatyczną skrzynkę antenową ICOM AH-2. Sprzęt ten zainstalowałem na moim jachcie „Varsovia” o długość 31 stóp (9.5 m), który sam wybudowałem od gołego kadłuba.

Urządzenie fabryczne powinno działać poprawnie, jeżeli instaluje się według instrukcji, ale na jachcie wszystko wygląda inaczej niż lądowa radiostacja. Największy problem to antena i uziemienie pomimo tego, że do wody jest blisko.

Na początek, do automatycznej skrzynki antenowej podłączyłem pionową miedzianą rurkę o średnicy 1/2 cala (12.5 mm) i wysokości 3m, minimum napisane w instrukcji. Efekty były bardzo mizerne, ale udało mi się zrobić pierwsze QSO na CW. Okazało się, że po latach nie zapomniałem telegrafii tylko trochę wyszedłem z wprawy szybkiego tempa.

Zaczęły się próby antenowe. Mój jacht stale cumuje w marinie niedaleko wysokiego mostu. Chciałem coś zrobić do robienia łączności podczas postoju. Prawie 200 m drutu, pod kątem około 30 stopni zamocowałem na izolatorze do mostu z jednej strony i do skrzynki na jachcie z drugiej. W marinie było trochę sensacji i pytań.

Nawet nie najgorzej wychodziły łączności, ale nie trwało to długo, bo po kilku dniach bez informowania mnie, zarząd mariny obciął mi antenę, zwinęli jeden koniec i położyli na jachcie a drugi wisiał z wysokiego mostu.

Na jachtach najczęściej stosuje się anteny, które są jednocześnie stałym olinowaniem.

Zrobiłem odpowiednio mocne okucia ze stali nierdzewnej do dwóch izolatorów, które zamontowałem na tylnym sztagu trzymającym maszt. Od dolnego izolatora luźny przewód doprowadziłem do skrzynki antenowej umieszczonej pod pokładem. Chodziło o to żeby skrzynka nie była narażona na zalewanie wodą i żeby cała antena była jak najdłuższa, ale i tak nie była dopasowana do długości rezonansowej fali.

Efekty były już niezłe, ale tylko na telegrafii. Na SSB cały czas sygnał był nieczysty, koledzy krótkofalowcy często nie mogli rozumieć mojego głosu. Największy problem był z tym, że płynąc na autopilocie jacht zmieniał kurs w takt modulacji, ponieważ kompas magnetyczny sterujący autopilotem był zbyt blisko przewodu antenowego. Zamocowałem skrzynkę 2 m nad pokładem pod radarem na rufowej ramie i znacznie to poprawiło, tylko czasami obserwowałem oddziaływanie na autopilota.

Największy problem był z uziemieniem. Próbowałem różne sposoby aż wreszcie zamocowałem dużą i grubą blachę miedzianą na ostrodze steru poniżej linii wodnej. Z której wyprowadziłem jeden przewód do wszystkich urządzeń radiostacji, bez żadnego połączenia z innymi uziemieniami na jachcie.

Na tym praktycznie zakończyły się próby i wszystko zaczęło działać całkiem dobrze, co zdało później egzamin podczas mojego samotnego rejsu na Hawaje.

W moim jednopiętrowym domu zainstalowałem na dachu wielopasmową antenę pionową AP-8 i ręcznie dostrajaną skrzynkę antenową. W krótkim czasie zrobiłem łączności i dostałem karty QSL z ponad setki krajów DXCC, ale na wysłanie do dyplomu jakoś zabrakło mi czasu.

Radiostacje przenosiłem na zimę do domu a na lato na jacht, który i tak cały rok stoi w wodzie. W Vancouver sezon żeglarski trwa praktycznie przez cały rok.

Dość często wypływałem nie na żeglowanie tylko na postanie na kotwicy albo przy pomocy w parkach prowincjonalnych z dala od lasu masztów jachtów stojących w marinie. Robiłem dużo łączności i startowałem też w zawodach zajmując nawet nie najgorsze wyniki w kategorii stacji kanadyjskich.

Czasami pływał ze mną Sławek Kiljański VE7GKI. Jednego razu staliśmy przy pomocy parkowym. W pobliżu cumowało kilka innych jachtów a na brzegu był Camping. Startowaliśmy w zawodach i w nocy na zmianę wołaliśmy do mikrofonu, tak głośno, bo jak zwykle nie słyszy się swojego głosu w słuchawkach, że przyszedł uciszyć nasgospodarz parku, którego domek był prawie 200 metrów od nas. Prosił żebyśmy byli ciszej, bo on nie może spać

Wypływając na takie najczęściej weekendowe pływania krótkofalowe, Sławek umawiał na łączności naszych polonijnych nadawców z okolicy Vancouver. Robiliśmy próby również na UKF, sprawdzaliśmy działanie lokalnych przemienników, zasięg odbioru itp.. Sławek angażował do tego również swoją żonę, żeby siedziała przy radiostacji w domu. Śmiała się, że pozbyła się chłopca na weekend, wolna chata a on daje je zajęcie. Mieliśmy z tego dobry ubaw.

Podczas takich pływów często rozmawiałem ze Zbyszkim VE7ATZ (obecnie VE3CTL, bo mieszka na wschodzie Kanady w Ontario). Podczas mojego samotnego rejsu na Hawaje był on moim radiowym „Aniołem Stróżem”. Mieliśmy codzienne łączności, co dość obszernie opisałem w książce pt.: „Samotnie Przez Pacyfik - Varsovią na Hawaje”.

W gorącym klimacie mój ICOM-IC-735 trochę przegrzewał się i po pewnym czasie nadawania mój sygnał stawał się niezrozumiały. Zamontowałem mały wentylator zewnętrzny dmuchający na obudowę i trochę to pomagało, ale zwykle robiłem łączności w nocy, bo było chłodniej.

Próbowałem też innych kombinacji antenowych, m.in. dipol, ale wielkość mojego jachtu ograniczała możliwości.

Po powrocie z rejsu zacząłem interesować się kupnem drugiego transceivera. W Vancouver jest sklep komisowy głównie ze sprzętem żeglarskim, ale krótkofalowcy też mogą tam znaleźć dużo przydatnych rupieci.

W sklepie tym jest bardzo ciekawa forma sprzedaży, codziennie cena zmniejsza się o pewien procent, co dokładnie przy kasie oblicza komputer. Na nalepce jest tylko cena początkowa, oraz kilka przykładów na różne daty. Na końcu nalepki jest data, kiedy można kupić tą rzecz za zero centów. Oczywiście rzadko dochodzi do tego, bo obsługa wyszukuje niskie ceny i zmienia na wyższą.

Codziennie zmniejszająca się cena jest dla klientów dobrym hazardem, kiedy kupić? Czy cena jest już dobra, czy czekać dłużej? Często można przechytryć i ktoś inny kupi wcześniej.

Normalne jest, że wszędzie na świecie w sklepach sprzedawcy chcą wyeksponować swój towar i ustawiają na półkach tak żeby lepiej był widoczny i dobrze sprzedać natomiast klienci zawsze mają odwrotny interes.

W sklepie tym jest dużo używanych rzeczy, które trudno eksponować na półkach w takim bałaganie a klienci jak wszędzie oglądają i nie zawsze kładą z powrotem na miejsce. W rezultacie nie jedna rzecz schowa się pod innymi i jest niewidoczna w momencie jak przechodzi obok zainteresowany klient.

Pokazał się tam do sprzedaży taki sam transceiver jak mój IC-735. Był w dobrym stanie, ale cena na początek zbyt wygórowana. Zaglądałem często do tego sklepu i główkowałem czy już kupić czy czekać. Robiłem odwrotnie niż sprzedawcy i starałem się mniej go eksponować. Wreszcie bałem się czekać dłużej. Udało się, wygrałem jak na loterii i kupiłem za śmiesznie niską cenę. Przy kasie sprzedawca dziwił się, bo już widział na komputerze cenę i chcieli zmienić naklejkę na wyższą, ale nie mógł znaleźć.

Zaradność krótkofalowców jest chyba jedną z naszych cech, szczególnie tych, którzy zaczynali w dawnych czasach ubiegłego stulecia. Wtedy musieliśmy potrzebne części do budowanych urządzeń, zdobywać w różne sposoby, często niecodzienne i nie wyobrażalne dla znacznie młodszych koleżanek i kolegów, którzy teraz kupują nowe fabryczne urządzenia.

Moje refleksje

Wielokrotnie zastanawiałem się, po co właściwie zajmowałem się krótkofalarstwem i co mi dało to hobby, które pasjonowało mnie przez długie lata?

Krótkofalarstwo otworzyło mi tzw. okno na świat.:

- Pierwsze łączności były początkiem mojej nauki języka angielskiego, którego znajomość owocowała przez całe moje życie, szczególnie w Kanadzie gdzie mieszkam i pracuje umysłowo od wielu lat.
- Robiąc łączności z całym światem uczyłem się geografii, zachęciło mnie to do podróżowania i poznawania świata. Może właśnie dzięki temu odwiedziłem dotychczas ponad 60 państw.

Zaradność życiowa:

- Zdobywanie części do konstruowania urządzeń radiowych, szczególnie w latach, kiedy zaczynałem uczyć umiejętności organizacyjnych i praktycznego myślenia.

Kontakty z ludźmi:

- Dały mi nowe i inne możliwości, których nie osiągnąłbym nie należąc do światowej „rodziny” krótkofalowców.

- Krótkofalarstwem zajmują się zwykle ludzie bardziej wykształceni i inteligentni. Przebywając w takim otoczeniu można rozwijać się lepiej niż pijąc piwo pod budką.

- W konsekwencji tych kontaktów, o czym m.in. pisałem powyżej osiągałem cele drogi życiowej.

Każdy człowiek musi mieć swoje hobby:

- Płynąc przez ocean samotnie na moim jachcie miałem czas na przemyślenia życiowe i długie łączności radiowe. W efekcie tego napisałem książkę, w której starałem się zwrócić uwagę, że człowiek bez hobby to jak gdyby pół człowieka.

- posiadanie hobby i pasji życiowej jest receptą na sukces i zadowolenie osobiste. Wyzwała inicjatywę i nowe możliwości.

Z perspektywy ponad czterdziestu lat nie żałuję żadnej chwili spędzonej przy radiostacji, spotkaniach na pasmach amatorskich, w klubach i innych miejscach odwiedzanych przez krótkofalowców.

Poniżej kilka ciekawszych fragmentów książki p.t. „Samotnie przez Pacyfik – Varsovią na Hawaje” wydanej w Vancouver, Kanada w roku 2004 na temat łączności krótkofalowej.

Rozdział 3. Tu VE7CFA / Maritime Mobile

....O godzinie 19:30 włączam radiostację, (bo jest to godzina umówionej łączności radiowej ze



Zbyszkim z Vancouver). Wołam do mikrofonu wywołanie: „VE7ATZ tu stacja VE7CFA/Maritime Mobile... odbiór”...

Niestety, Zbyszka nie słyszę, bo na częstotliwości 14 Mhz jest za daleko na propagację na fali przyziemnej, a za blisko na falę odbitą. Odpowiada radiostacja z Kalifornii, za pośrednictwem, której przekazuję wiadomości do Vancouver. W międzyczasie zgłasza się Staszek VE7LSK z jachtu „Boomerang”... (Drugi jacht z Polską załogą płynący tą samą trasą):

Rozdział 7. Codzienne łączności radiowe

Codziennie, coraz dłuższe w czasie łączności radiowe wymagają więcej prądu. Na wszelki wypadek, aby nadmiernie nie osłabiać bilansu energetycznego, od czasu do czasu uruchamiam silnik.



Jestem już wystarczająco daleko od Vancouver i propagacja radiowa na częstotliwości dalekiego zasięgu 14 Mhz daje możliwość codziennych łączności. Rozmawiam ze Sławkiem VE7GKI, który przekazuje informacje do naszego Polskiego Klubu Żeglarskiego w Vancouver, oraz Ryśkiem VE7MFA. Zbyszek VE7ATZ ma najlepsze możliwości łączności, ponieważ jego wieloelementowa antena umieszczona jest na dachu wieżowca w centrum Vancouver. (Nie jest niczym zasłonięta i obrócona bezpośrednio na Pacyfik) zapewnia bardzo dobre efekty.

Zbyszek VE7ATZ ma najlepsze możliwości łączności.

Jego wieloelementowa antena umieszczona jest na dachu wieżowca w centrum Vancouver.

Zbyszek często podłącza do radiostacji telefon i mogę bezpośrednio rozmawiać z żoną i synem, a nawet z rodziną w Polsce.

Najpraktyczniejsze zastosowanie łączności radiowej to otrzymywanie informacji pogodowych, bo Zbyszek ogląda na Internecie mapy pogodowe. Opisuje aktualną sytuację: gdzie wyż gdzie niż.... W codziennych, wieczornych łącznościach radiowych z „Boomerangiem”: porównujemy nasze pozycje geograficzne, opowiadamy sobie o różnych wydarzeniach i sprawach. Do tych rozmów często dołączają się stacje z Australii, Nowej Zelandii, Polski i różnych innych zakątków świata.

Ciekawe rozmowy prowadzę z Robertem VE3ZZK z Toronto, który ma zainstalowaną radiostację w swoim dużym samochodzie ciężarowym i za każdym razem odpowiada mi z innego miejsca w

innym stanie USA. Chyba coś nas łączy: on samotny kierowca na autostradzie, a ja samotny żeglarz na oceanie. W tych

warunkach zastanawiam się, czy ja naprawdę jestem samotnym żeglarzem skoro mam dookoła takie rozmowne towarzystwo.

Koledzy krótkofalowcy pytają o różne szczegóły dotyczące mojego jachtu, planów podróży, bezpieczeństwa i życia na pokładzie. Często dyskutują również o sprawach natury bardziej osobistej...



*Zbyszek VE7ATZ przy swojej radiostacji.
„Centrala telefoniczna”
i mój codzienny kontakt ze światem*

Rozdział 47. „Międzynarodowa centrala telefoniczna”

Właśnie dzisiaj, to jest 21-go sierpnia, Elżbieta wraz z Markiem, według rozkładu odwiedzania różnych miejsc w Europie, powinna już być w Warszawie u mojej mamy. Proszę, więc Zbyszka, operatora „międzynarodowej centrali telefonicznej” o kontakt z nimi. Przed połączeniem nas do bezpośredniej rozmowy, proszę go o wstępne przygotowanie i wyjaśnienie mojej mamie sposobu prowadzenia nietypowej rozmowy telefonicznej. Elżbieta jest już przyzwyczajona do takich rozmów przez radiostacje, to znaczy nadawanie i odbiór. Nawiasem mówiąc jest to dobra forma konwersacji małżeńskiej, ponieważ nie można kłócić się w ten sposób. Moja mama, jak mi się wydaje, może mieć problemy z przechodzeniem na nadawanie i odbiór.

Przez dłuższy czas jestem na nasłuchu, słyszę w głośniku tylko typowy szum radiowy i z niecierpliwością czekam na połączenie. W tym czasie rozmowę, wreszcie słyszę słowa, „proszę mówić”, jest to ostatnia jego instrukcja dla mojej mamy i za chwilę słyszę jej głos.

Niecodzienne wrażenie, jestem prawie dwa tysiące kilometrów od najbliższego lądu i co najmniej, cztery razy dalej od Polski, mierząc po najkrótszej linii - nad biegunem północnym. U mnie jest godzina 9-ta wieczorem a w Warszawie też jest godzina 9-ta, tylko, że rano już następnego dnia. Siedzę na koi z mikrofonem w rękę i rozmawiam z moją mamą, słyszymy się nawzajem, tak jak byśmy byli obok siebie, jak za dawnych lat. Właśnie wspomina ona i komentuje, że to tak samo jak było kiedyś.

Przypominam sobie, jak to w dawnych czasach, po każdym moim rejsie żeglarskim, wracając do polskiego portu, biegłem na pocztę żeby zamówić rozmowę międzymiastową do Warszawy. Później to nawet już było automatyczne połączenie, co wtedy uważaliśmy za „cud techniki” i mogłem telefonować do domu, bezpośrednio, z portowej budki telefonicznej. W ten sposób uspokajałem mamę informując, że jestem już na lądzie, z czego ona zawsze cieszyła się.

Tymczasem mama, kończąc swoje refleksje, mówi słowo – „odbior” i przechodzę na nadawanie. Potwierdzam podobieństwo obecnej rozmowy, do tych dawnych, sprzed trzydziestu lat. Mówię: mamó, wszystko jest tak samo, tylko technika się zmieniła, rejon żeglugi i my... i nie chcę komentować dalej, bo ze wzruszenia czuję, że głos mi się załamuje. Dobrze, że nie jest to klasyczny telefon i mogę przejść na odbiór, łamiącym się głosem mówię słowo - „odbior.” Słucham teraz dalszej relacji, podczas której mogę dojść do siebie.

Następnie rozmawiam z moją żoną i synem, pytam się o ich wrażenia z wakacji itp. Rozmawiamy o naszych prywatnych, rodzinnych sprawach, zapominając, że praktycznie mogą nas słuchać krótkofalowcy na całym świecie.

Po zakończonej rozmowie, już po rozłączeniu telefonicznego połączenia z Polską, Zbyszek komentuje: „Twoja mama, to tak jak profesjonalny radiooperator, prawidłowo woła i przechodzi na nadawanie lub odbiór”. Odpowiadam, że to nic dziwnego, ponieważ nie jedną noc nie przespała, kiedy w dawnych czasach, wołałem do mikrofonu mojej, amatorskiej radiostacji:



„wywołanie ogólne tu stacja SP5CJU...odbior” lub mój brat Grzegorz wołał: „...tu SP5AZQ...odbior”. Grube ceglane ściany, nie mogły wytłumić naszych doniosłych głosów, rozchodzących się po całym mieszkaniu i okazuje się, że po wielu latach to „doświadczenie radiowe” przydało się naszej mamie.

*„Wywołanie ogólne tu stacja SP5CJU...odbior”.
Rok 1968.*